Rocznik I. Kraków, 1 lipca 1899. Numer 1.

SKARBNICA

Pismo ludowe illustrowane
popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:
Ks. Marceli Dziurzyński.



MÓDL SIĘ i PRACUJ.

Od Wydawnictwa!

Wszystkich Szan. Odbiorców, którzy ten numer I-szy *Skarbnicy* otrzymali na okaz — uprzejmie prosimy, by przy nadsyłaniu przedpłaty raczyli nadmienić, że już numer I-szy posiadają, abyśmy nie potrzebowali powtórnie im go wysyłać.

Ponieważ numer następny (2-gi) wyjdzie tylko w takiej ilości egzemplarzy, ilu czytelników zgłosi się z prenumeratą w tym miesiącu, przeto prosimy o rychłe nadsyłanie przedpłaty, — kto się bowiem opóźni, dla takiego może potem 2-go numeru zabraknąć.

Skarbnica, jak to widoczne z treści niniejszego numeru, służyć będzie prawdziwej, katolickiej i narodowej oświacie ludu, z tego przeto względu powinna się znaleźć nietylko w chatach wieśniaczych, ale winni ją popierać wszyscy zwolennicy i przyjaciele zdrowej oświaty ludowej.

W nadziei, że tak będzie, że znajdziemy poparcie i u ludu i u przyjaciół jego oświaty, puszczamy w Imię Boże pismo nasze w świat, i jeszcze raz prosimy o życzliwe i rychłe poparcie.

Ponieważ nnmer I-szy mogliśmy wysłać dopiero w połowie lipca, dlatego numer następny (II-gi) rozesłany będzie nie 1-go, lecz koło 10 sierpnia. Dalsze zaś zeszyty wychodzić będą regularnie każdego 1-go.

Wydawnictwo *Skarbnicy*.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski

Gwardyan

w Alwerni (poczta w miejscu).

Rok I. Kraków, 1 lipca 1899. Numer 1.

SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa
dla ludu polskiego.
Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:
w Austryi: na rok **2** złr., na pół roku **1** złr. — **W Niemczech**: na rok **4** marki. — **W Ameryce**: rocznie **1** dolar.
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Ślady chrześcijaństwa w Polsce przed Mieczysławem I.

(Urywek z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce).

W mniejszych podręcznikach do historyi Polski, znajduje się twierdzenie, wcale nie historyczne, jakoby wiara chrześcijańska w Polsce pojawiła się dopiero od chwili, gdy Mieczysław I przyjął Chrzest św. r. 966.

Tak nie było, ślady bowiem chrześcijaństwa w Polsce są daleko wcześniejsze, i sięgają czasów, gdy w Polsce panował Ziemowit, syn Piasta i Rzepichy. W czasie, gdy ten książę panował nad Polską (między rokiem 860—891), królował w sąsiedniej Morawii Świętopełk, za którego staraniem przybyli na Morawię święci Cyryl i Metody w celu opowiadania Ewangelii.

Ci apostołowie nie ograniczali swej działalności na samą tylko Morawię, ale ich gorliwość sięgała i do innych ludów słowiańskich, a zwłaszcza do Czech i Polski. Podanie nawet mówi, iż Metodyusz wysłał opowiadaczów Wiary chrześcijańskiej, w różne strony świata.

Chociażby atoli podanie to było wątpliwe, to i tak za pewność przyjąć musimy, że zaprowadzenie chrześcijaństwa w Czechach i w Morawii musiało wywierać wpływ na Polskę, czyli, że i tu byli już w owym czasie wyznawcy Wiary chrześcijań-

skiej, którzy atoli nie mogli się na to odważyć, by nową religię publicznie głosić i wyznawać, lecz czynili to po największej części skrycie, to jest zbierali się po lasach i pustyniach, i w nich obrzędy chrześcijańskie spełniali.

W żywocie św. Metodego czytamy, iż pewien książę pogański nazwiskiem Wisław, siedząc w Wiślicy (a więc w Polsce) urągał chrześcijaństwu. Święty Metodyusz posłał do niego swych uczniów i rzekł: „Dobrzeby było mój synu, abyś się dobrowolnie dał ochrzcić na twej ziemi, bo inaczej to będziesz wzięty do niewoli, i musisz Chrzest przyjąć na ziemi cudzej, a wtenczas wspomnisz sobie, iż prawdę ci mówiłem“.

I tak się stało rzeczywiście. Około roku 884 pokonał go morawski książę Świętopełk, i swoje panowanie nietylko nad Krakowem, ale i nad dalszymi krajami południowej Polski rozpostarł, wnosząc z panowaniem także i Wiarę chrześcijańską w obrządku słowiańskim.

Kiedy zaś Madziarowie około roku 909 rozbili państwo morawskie, wówczas wiele rodzin morawskich schroniło się do Chrobacyi (gdzie dziś Kraków), i do innych stron południowej Polski, a jako chrześcijanie przyczynić się musieli do rozszerzenia Wiary świętej między Polakami.

Istniał też do niedawna w Krakowie na Kleparzu kościół świętego Krzyża, zbudowany jeszcze przed Mieczysławem I, co dowodzi, że tu już przed Mieczysławem I chrześcijaństwo się rozwijało.

Kronikarze niemieccy piszą, że w roku 960 przybyli do Ottona I, cesarza niemieckiego, posłowie z Rusi prosząc go, aby im posłał Biskupa. Ci ruscy posłowie, nie byli wysłani przez Rusinów z Kijowa, bo ci jeszcze przez lat 20 trwali w pogaństwie, ale byli to posłowie z Chrobacyi (południowej Polski) i tej części Moraw, nad którą Otto I miał władzę, po upadku tego państwa.

Cesarz Otto posłał im Biskupa Adalberta, który niszczył obrządek słowiański a zaprowadzał obrządek łaciński, co tak oburzyło tamtejszą ludność, iż Adalbert ledwo z życiem uciekł.

Ten Adalbert nie był to święty Wojciech, który dopiero w roku 983 został Biskupem pragskim, a w roku 984 nawiedził Kraków i Węgry, lecz był to Adalbert, późniejszy Arcybiskup magdeburski, który św. Wojciecha na kapłaństwo wyświęcił i nadał mu swe imię.

Wtedy to cesarz Otto chcąc zaprowadzić obrządek łaciński, oddał ten kraj aż po brzegi Bugu i Styru pod zwierzchnictwo

duchowne Biskupa pragskiego. Stało się to za czasów Ziemomysła, ojca Mieczysława I.

Ziemia zatem krakowska należała do jurysdykcyi Biskupa pragskiego, aż do czasów Bolesława Chrobrego, który ją z rąk czeskich odzyskał, i ustanowił pierwszego Biskupa Poppona około roku 999.

Atoli nie można żadną miarą część kraju południowej Polski z Krakowem uważać za całą Polskę, i twierdzić, jak to czynią niektórzy historycy, że religia chrześcijańska obrządku słowiańskiego była już w całej Polsce przed Mieczysławem I. Bo chociaż niewiadomo, jak daleko sięgała dyecezya św. Metodyusza, i jak daleko rozciągało się apostołowanie misyonarzy słowiańskich, to jednak jest pewnem, że w Wielkopolsce (dzisiejszem Poznańskiem), czyli we właściwej Polsce, religia chrześcijańska we wschodnim obrządku nigdy opowiadaną nie była.

Łatwo się o tem przekonać: gdy się zważy, jakim wpływom postronnym ulegała w owych czasach Wielkopolska.

Po sławnym cesarzu rzymskim Karolu Wielkim, który Słowian aż ku Wiśle wyparł, rozpadło się jego państwo na trzy części, t. j. na Francyę, Włochy i Niemcy. Królowie niemieccy idąc śladem Karola Wielkiego podbijali dalej Słowian, i z bronią w ręku szerzyli między nimi chrześcijaństwo.

Nie ulega prawie żadnej wątpliwości, że już za rządów trzech poprzedników Mieczysława I, t. j. za Ziemowita, Leszka i Ziemomysła przechadzali się po kraju polskim niemieccy misyonarze. Możnaby nawet za prawdopodobne przyjąć, że owi dwaj goście u Piasta i Rzepichy, byli właśnie wysłańcami chrześcijańskimi.

Wielkopolska więc ulegając wpływom Niemiec i przyjmując misyonarzy z Niemiec, przyjmowała po cichu chrześcijanizm ale w obrządku rzymskim, gdyż niemieccy misyonarze do takiego tylko obrządku należeli.

Były więc i w Wielkopolsce początki chrześcijaństwa dawno przed Mieczysławem I, ale wiarę chrześcijańską wyznawała jeszcze zbyt mała liczba ludności. Wiara ta nadto wnet stygła i gasła, bo ją głosili misyonarze niemieccy, niemili dla ludności słowiańskiej, bo nie miała przytułku w świątyniach.

Czy poprzednicy Mieczysława I, t. j. Ziemowit, Leszek i Ziemomysł byli choć może pocichu chrześcijanami, o tem niema najmniejszej pewności. Zdaje się atoli, że Otto Wielki, cesarz niemiecki, podbijając coraz bardziej Słowian i zakładając pośród nich biskupstwa, skłonił Ziemomysła, ojca Mieczysława jeżeli nie do przyjęcia religii chrześcijańskiej, to przy-

najmniej do przyrzeczenia, że chrześcijan prześladować nie będzie, skoro w roku 958 ustanowił biskupstwo poznańskie, będące już w granicach Polski.

W tymże roku 958 Jordan został mianowany Biskupem poznańskim, lubo zarząd tej dyecezyi objął dopiero w roku 968, to jest we dwa lata po przyjęciu religii chrześcijańskiej przez Mieczysława I. Stąd się pokazuje, że Wielkopolska, czyli właściwa Polska, odebrawszy pierwsze znajomości religii chrześcijańskiej z zachodu, odrazu też przyjęła obrządek łaciński.

Tylko okolice Krakowa z jego obwodem, należące do dyecezyi wielko-morawskiej, miały wiarę za czasów świętego Metodyusza opowiadaną w obrządku wschodnim, który już w wieku Xtym ustąpić musiał obrządkowi łacińskiemu. Jakkolwiek atoli w tych stronach, w Czechach i na Morawie panował obrządek wschodni przez jakiś czas, to jednak te kraje należały pod względem łączności duchowej do patryarchatu rzymskiego, czyli pozostawały w łączności ze Stolicą Apostolską.

Wykażemy to w następnym zeszycie.

RADA SĄSIEDZKA.

(Zdarzenie prawdziwe).

Była to niedziela. Z małego wiejskiego kościółka, po wysłuchaniu nieszporów, wychodził lud wioskowy. Łącząc się w gromadki, zwolna postępowali wszyscy do domów swoich; jedni gwarzyli o jutrzejszej robocie, drudzy o swojej zwykłej biedzie, inni o nabożeństwie tylko co odbytem, a było i takich kilku, co nie pamiętając przed chwilą wyrzeczonych słów kapłana, zwolna zdążali do karczmy.

Powoli droga stawała się coraz więcej pustą; lepsi i dbalsi gospodarze poszli w pole przyjrzeć się swojej pracy, mniej zaś dbali i próżniacy zasiedli ławy karczmy i ciągnąc kieliszek po kieliszku, wyrzucali marnie grosz ostatni, albo nie mając już i tego, zapisywali kreski na owcę lub krowę. Kobiety usadowiwszy się pod ścianami domów, jak zwykle miały sobie wiele do mówienia, a kiedy niekiedy wymawiane głosno imiona zdrobniałe, świadczyły, że oprócz zajęcia się sobą, strzegą jeszcze dzieci, które bawiąc się na środku drogi, obrzucały się piaskiem, lub dobrowolnie w nim się nurzały. Ostatnia trójka posuwała się do domu; gwarzyli to o tem,

to o owem; aż jeden z nich Wojciech, przerywając rozmowę, odezwał się:

— Coś to musiało się taki stać u Józefa, boć to jego żony nie było dzisiaj w kościele.

— Może zaniemogła nieboga, powiedział Antoni, boć i Józef dzisiaj jakoś więcej modlił się i nie poszedł jak zwykle w pole, ale prosto do domu. Nie daj Boże jakiego nieszczęścia; poczciwi to ludziska, i jakoś im się nie wiedzie.

— A toć to idzie czwarty miesiąc dopiero, rzekł Jakób, jak pochowali chłopaka; dziesięć lat miał już podobno, i do szkoły chodził i taki na każdej już książce potrafił.

— Nieszczęście, to prawda rzekł Wojciech, już to taka wola Pana Boga; ale powiedziawszy po prawdzie, to i sami sobie winni. Chłopak zaniemógł trochę, oni nie patrzeli na to, myśleli co tak i przejdzie, i nie radzili się nikogo. Choroba coraz większa była, a w kilka dni to i w łóżku go położyli. Chłopak jęczał, sechł i w tydzień Bogu ducha oddał. A radziłem im, gadałem, coby dali znać do dworu, lub do księdza Proboszcza; nie chcieli, to też i nie mają syna.

— Cóż kiedy tak uparci, powiedział Jakób, ksiądz i w kościele i kiedy tylko przyjdzie do chałupy, zawsze gada, coby zaraz dawać znać, jak tylko kto zachoruje i pan ciągle to samo powtarza, cóż kiedy jakoś nie słuchają! Pan sprowadził nawet teraz i do wsi doktora jakiegoś, dał mu chatę i ogród, aby tylko pilnował chorych; często jak kto nie ma, to pan daje swoje lekarstwa i zapłaty nie żąda; ale cóż kiedy i nie wierzą i nie wierzą!

Tak rozmawiając, zbliżali się do dróżki wiodącej w pole; chcieli jako pilni gospodarze, przy wolnym czasie obejrzeć zbożą i pocieszyć się plonem, jakim Bóg wynagrodził ich pilność i pracę. Ale Wojciech, który więcej dbał o dobro cudze, jak o swoje, który gotowym był raczej sam ponieść krzywdę, niż kogo skrzywdzić, co innego miał na myśli. Czy to gdzie potrzeba było rady, czy też inną pomoc komu wyświadczyć, Wojciech zawsze był pierwszym.

Nieraz, gdy który z sąsiadów przez pijaństwo zapomniał o gospodarstwie i wpadł w nędzę, Wojciech nie odstępował go nigdy. Dopóty prosił, namawiał, radził i z własnej kieszeni pomagał, aż podupadły wszelkiemi zmuszony środkami przestawał pić i znowu był dobrym gospodarzem. Inni litowali się tylko i mówili: Szkoda człowieka, zniszczeje!... szkoda gospodarstwa i tym podobne rozwodzili żale, ale rzadko któryby dopomógł. Wojciech zaś nigdy wiele nie gadał, ale jak

co pomyślał, to zaraz i zrobił. Czy kto wpadł w biedę przez jakie niespodziewane nieszczęście, czy też przez własną winę, Wojciech zarówno temu jak i tamtemu pomagał. W złym zawsze chciał dopatrywać dobrego, tłomaczył go przed innymi i nigdy nie potępiając człowieka, szukał w nim przyczyny, która go skłoniła do złego.

Mając jaki zamiar, zawsze go doprowadzał do skutku; a chociaż często spotykał trudności i przeszkody złych ludzi, szedł jednak drogą prostą, wytrwale, nie udawał się nigdy do kłamstwa, pochlebstwa lub poniżenia, ale prawdą, szczerością i szlachetnem postępowaaiem przekonywał innych i zawsze postawił na swojem. Chociaż mu kto i źle życzył, on na to nie uważał wiele, lecz owszem odpłacał mu dobrem, a tak postępując, zyskał dobre imię i poszanowanie w całej gromadzie.

I teraz nie widząc żony Józefa w kościele, i myśląc że kto zachorował w domu, nie poszedł w pole dla zobaczenia pracy swojej, ale pożegnawszy Jakóba i Antoniego, pospieszył prosto do Józefa chaty.

Skrzypnęły drzwi ubogiego domku i Wojciech z zafrasowaną twarzą stanął na środku izby. Józefa nie było jeszcze w chacie. Został on dłużej od innych w kościele, gdzie klęcząc pod drewnianą ścianą, chociaż nabożeństwo dawno ukończonem było, ze złożonemi rękami i modlitwą na ustach, z prostych słów złożoną zanosił prośbę do Boga i Najświętszej Panny o zdrowie żony swojej.

Wojciech wszedłszy do chaty i dokoła obejrzawszy się, został mocno zdziwiony. Pod ścianą na nędznym tapczanie trochą siana i grubą nakrytym płachtą leżała blada kobieta. Zamknięte oczy i bezwładność ciała pokazywały, że chora zasnęła.

Wojciech pocichu przybliżył się do tapczanu, spojrzał na wynędzniałą twarz leżącej i półgłosem szepnął słów kilka: Źle, źle, no, a ja o niczem nie wiedziałem! Kilka dni temu, jak tutaj byłem, chodziła jeszcze. Prawda, uskarżała się cokolwiek, ale zdawało się, że to nic. No, a ja o niczem nie wiedziałem!...

Drzwi skrzypnęły znowu i Józef wszedł do izby.

— Niech będzie pochwalony, powiedział po cichu do Wojciecha, zdejmując czapkę i zbliżając się do niego.

— Na wieki wieków, odpowiedział Wojciech i podał mu rękę.

— Ot patrzcie kumie, mówił po cichu Józef, widząc że chora usnęła, już to jak się zaczną nieszczęścia, to jedno po

drugiem nadchodzi na człowieka. Ot niedawno, bo dopiero czwarty miesiąc jak pochowałem syna; dobry był chłopak i do roboty skory i posłuszny i w szkole się nieźle uczył, świeć Panie nad jego duszą!... a teraz żona mi zaniemogła i drugi dzień już leży kiejby bez duszy.

— Cóż to takiego, co ją boli? zapytał Wojciech.

— Albo ja ta wiem, ot chora, rzekł Józef. Tydzień temu chodziła jeszcze, w poniedziałek była jeszcze u żniwa pańskiego, no i przyszedłszy do domu, zaczęła się skarżyć, że ją głowa boli, że jej zimno, i że ją jakoś siły uchodzą. Myślałem, że to przejdzie, że jak zwykle boli, to i przestanie, a tutaj coraz gorzej. Trzy dni temu, jak się położyła, tak leży dotąd, jęczy tylko i nic nie mówi. Już tak Bóg chciał!

— A chodziliście do kogo radzić się? — zapytał Wojciech.

— A juści, chodziłem do Stepańczuka pastucha dworskiego, on to zna się na różnych lekach; on to jak wiecie Wojciechu, i kołtuny zamawia. Przyszedł, popatrzał, coś poszeptał, dał później jakiegoś tam ziela, żeby je ugotowawszy pod szpontem o północku, wypiła, i mówił że to nic. Tymczasem jej teraz i gorzej i gorzej. Wczoraj jeszcze mówiła, a dziś już i nic nie mówi nawet.

— Czemużeście Józefie nie dali znać do dworu, albo do księdza? Toć to pan sprowadził przecie teraz i doktora dla ludzi i sam ciągle gada, aby dawać znać, jak tylko kto zachoruje na wsi.

— Ale co tam dawać znać, powiedział Józef i machnął ręką. Czy to tam już potrafią dać zdrowie choć i doktory? Jak Pan Bóg zechce, to ją wyprowadzi z tej niemocy. Kiedy zresztą Stepańczuk jej nie pomogli, co to znają go ludzie z leków, to i nikt już jej nie poradzi.

— Tak juścić, doktory dać zdrowia nie mogą, ale jeśli kto zachoruje, to mogą go z tego wyprowadzić. Na to się oni uczą. A przecież i moją Krychę tak dobrze wykurowali.

— Et, co tam nauka, przerwał Józef, dlaczegóż niby to leczą, a ludzie i chorują i umierają!

— Umierają, rzekł Wojciech, bo to w mocy Boga. Czasem najdzie na człowieka taka choroba, co i nie można wyleczyć; no, to już i trudno i człowiek umiera. Doktór ta nic nie winien. Aleć bywa często, że człowiek choć zdaje się jakby nie żywy, a jednak go wyleczy i zdrów. A nie pamiętacie to Józefie Szymka? Choć go i Stepańczuk leczyli, to



Wisła, nad jej brzegiem kościół i klasztor PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, a w dali kopiec Kościuszki.

dlatego już ledwo dychał, dopiero doktór jakoś tam dobrze poradził i dziś Szymek chodzi.

— Ej, ja w tych doktorów to i nie wierzę, mój Wojciechu. Ot niedawno jak mi syn chorował, toć był i doktór u niego, bo ksiądz go z sobą przyprowadzili, i cóż zrobił? obejrzał go, dał nawet jakieś lekarstwo, a syn jednak umarł!

— A jabym powiedział Józefie, że to także wasza wina, odrzekł Wojciech. Póki Jontek nie był tak chory, gadałem wam ciągle, żeby pójść do dworu, nie słuchaliście. Aż jak już miał tylko kilka godzin do śmierci i gdy zobaczyłem, że tak źle, poszedłem sam do księdza Proboszcza. Cóż robić? było już za późno. Jeżeli choroba nie wielka jeszcze i jeżeli prędko poradzi się doktora, to można jeszcze i wyleczyć; ale jeżeli chory już kona, to trudno, to i nauka nic nie poradzi.

— Toć samo i ksiądz w kościele gada, powiedział Józef; ale co to!... jak Pan Bóg zechce, to człowiek umrze, a jak zechce, to i po śmierci nawet wyzdrowieje.

— Tak prawda i to, odpowiedział Wojciech, ale też Pan Bóg nakazał także, aby ludzie o siebie dbali. Kiedy można wyleczyć i kiedy jest jeszcze czas po temu, to i wielkim jest grzechem zaniedbywać chorego. Życie nasze nie do nas należy i trzeba się kiedyś rachować z niego; trzeba go więc strzedz i na prędką śmierć nie narażać. Toć to i ksiądz w kościele mówił, że zaniedbać chorego i nie starać się o zdrowie, jest grzech przeciwko piątemu przykazaniu Bożemu. Każdy człowiek, mój Józefie powinien drugiemu dopomagać. A jeżeli nie będziemy dbali o swoje życie, to nietylko sobie nic nie zrobimy, ale i drugim nie dopomożemy.

Józef na pół przekonany słusznemi słowami Wojciecha, zgodził się wreszcie, aby doktora poprosić. Chora obudzona ich rozmową, otworzyła oczy, a nie mając siły obrócić się, jęknęła kilka razy. Józef pospieszył do niej, a Wojciech tymczasem nie tracąc czasu, udał się do doktora. Opowiedziawszy mu mniej więcej stan chorej, prosił, aby wziął z sobą jakie lekarstwa i wskazawszy mieszkanie Józefa, powrócił do swej chaty, aby wyprawić swą żonę do doglądania słabej.

Nadszedł niebawem i doktór, obejrzał leżącą, a potrząsnąwszy głową, odwrócił się do Józefa z zapytaniem o postępie choroby. Zupełna bezwładność i stan prawie konający chorej, przepowiadały, że niewiele jest do stracenia czasu, że jedna chwilka może dla Katarzyny grób zgotować.

Po krótkiej więc z Józefem rozmowie, doktór pospiesznie opuścił chatę jego i udał się do siebie w celu przygotowania potrzebnych środków.

Józef został sam jeden w chacie obok chorej żony. Z rozpaczą rzucił się na kolana przed obrazem Matki Bożej i w gorącej modlitwie błagał jej o zdrowie.

W takiej to postawie zastał go jeszcze powracający z lekarstwem doktór. Opowiedziawszy Józefowi, jak ma postępować z dawaniem lekarstwa, zgromiwszy go, że tak długo pozwolił rozwijać się chorobie, nie dając znać do niego, wyszedł zalecając jak najściślejsze stosowanie się do swego polecenia w postępowaniu z chorą.

Nazajutrz zrana przybył znowu do chaty. Żona Józefa zdawała mieć się lepiej. Obfite poty wywołane lekarstwem ulżyły jej dużo, i nadzieja, iż powróci do zdrowia ożywiła doktora. Przez trzy tygodnie jeszcze codzień on odwiedzał Józefa domek, a z każdym dniem chora nabierała sił więcej i stawała się już zdrowszą.

I Wojciech odwiedzał ich często, pomagał ile razy bieda przycisnęła, a jego żona przez cały czas zajmowała się doglądaniem chorej.

W miesiąc potem żona Józefa, jak dawniej była już w stanie zająć się robotą.

Pewnego wieczora po ukończeniu całodziennej pracy, Wojciech z Józefem powracając z pola, przybliżali się ku wiosce. Prowadzili powolną gawędkę, rzucając czasami po kilka wyrazów. Tak przyszli przed chatę Józefa. Wojciech chciał go pożegnać i pójść do siebie, gdy ten nalegając na niego, rzekł:

— Ot chodźcie lepiej do mnie, zmachaliśmy się dobrze idąc taki kawał drogi, odpoczniemy trochę w izbie i zobaczycie moją Kaśkę, która od czasu słabości wdzięczna wam za swoje życie.

— Muszę iść do domu, odpowiedział Wojciech, boć to i wieczór już, a trza zobaczyć, co się tam dzieje w chacie i co tam moje kobiety robią.

— Jużciż tam dom nie ucieknie i nic się w nim złego nie stanie mój Wojciechu, a ja zawsze rad jestem, jak jesteście u mnie i taki wam wdzięczny, coście mi uratowali kobietę.

Wtem wyszła z chaty i Katarzyna, a przyłączywszy swe prośby, zmusiła Wojciecha, by wstąpił choć na chwilę do nich.

Wojciech od czasu wyzdrowienia Katarzyny unikał prawie widzenia się z niemi, bo ciągle mu dziękowali i okazywali wdzięczność. I teraz zmuszony prawie wszedł do chaty z zakłopotaną twarzą, a położywszy sierp na stronie, usiadł na ławce.

— Już też was Wojciechu, rzekła Katarzyna zamykając drzwi za sobą, nie można nigdy sprowadzić do nas. Teraz kiedy Bogu dzięki mogę już robić, uciekacie od nas, jakbyśmy i trzech słów nie byli warci. Oj Wojciechu, Wojciechu, czy to się tak godzi, a przecież żeby nie wy, to jabym już dawno ziemię świętą gryzła.

— Ot, co tam gadacie Katarzyno, ja was przecie nie wyleczyłem, a że namówiłem Józefa, by poradził się doktora i sam po niego poszedłem, toć jeszcze nie ma tak i za co tak dziękować.

— Oj świętą, świętą prawdę mówiliście Wojciechu, dorzucił Józef; gdyby nie ten doktór, możebym już dawno pochował Kaśkę. Jużcić Pan Bóg pomaga, to prawda, ale i bez pracy człowieka to się nic nie stanie. Co nauka, to nauka, zawszeć muszą tam i wiedzieć wiele, kiedy tyle i z takich grubych książek czytają. Gdybym to ja był i do Jontka usłuchał was i poradził się wcześniej doktora, możebym go i nie stracił.

Co teraz to dzieciom i wnukom swoim gadać będę, że jeżeli kto zachoruje, to niech się radzi. Ileć to u nas umarło, co to mogliby żyć jeszcze dotąd, cóż kiedy tak uparci. Prawda, że i ja taki sam byłem, ale dziś to już inaczej. Trzeba zawsze pono słuchać mądrzejszego.

Noc się zbliżała i czas było myśleć o spoczynku. Wojciech pożegnał Józefa i jego żonę i z twarzą spokojną i zadowoloną powoli powlókł się do domu. Rad był sam z siebie, że jednę uratował od śmierci, a drugiego wyprowadził z błędu, który na nieszczęście tak jest powszechny między wiejskim naszym ludem.

NADGOPLAŃSKA BIESIADA.

(Z podań ludowych).

Dopóki kujawski żył wojewoda, szczęściem, pokojem i dobrym bytem oddychały wioski, miasteczka. Zapasy zboża leżały jeszcze w gumnach z lat dawnych, gdy na urodzajnych łanach kołysała się pszenica; dobytek w pańskich oborach stał

na usługi kmiecej potrzeby, a skarbiec obfitował w złoto. Błogie też były czasy i obfity urodzaj. Nie zbrakło chleba w zagrodach, było co przywdziać na siebie. Piosnki wesołe płynęły z ust ludu, a znojna praca szła swym porządkiem, ochoczo, zwinnie, bez gwałtów. W święto był każdy wolny od trudów; kościół zapchany pobożnym ludem, i chwała Boża na skrzydłach anielskich wznosiła się w górę ku niebu.

W czasie żniw wojewoda z córką Bożenną wychodził w pole i pochwaliwszy Pana Boga, stanął i patrzał radośnie na rój żniwiarzy ochotnych, pochwalił zwinnego parobka, upomniał podstarościego, aby się z ludem obchodził łagodnie; kazał wystawić połbeczek piwa, obdarzył datkiem pieniężnym pilnych młodzieńców i zadowolony powrócił do zamku.

A panienka, to istny anioł w ludzkiej postaci. Nie było chaty, gdzieby nie weszła, nie zagadała z dziećmi, darząc je wszystkie upominkami. Kochały ją też wieśniaczki i czciły jak świętą. Sierota po stracie matki, dziwnie była dobrą i łagodną. Ledwie czternastą skończyła wiosnę, a już tyle miała rozumu, że sama jedna, z pomocą starej piastunki Gertrudy, rządziła domem i służbą, nikomu krzywdy nie wyrządziła, a rozkaz dawała prośbą, nie groźbą. To też zamkowa służba wojewody w ogień za nią skoczyć gotowa.

Tak płynęły chwile od zgonu nieboszczki wojewodziny. Zamek posmutniał i osamotniał, bo wojewoda, pochylony wiekiem, zerwał stosunki ze światem. Zajęty szczęściem swych poddanych, od śmierci żony nigdzie się nie wydalał. Długie dnia godziny przepędzał w modlitwie nad grobem drogiej małżonki, lub też rozmawiał z córką, wpajając w serce młodego dziewczęcia Boskie nauki i cnoty. Ale jak z jednej strony czuł się szczęśliwym, że w pięknej Bożennie pozostał mu wierny obraz cnót i dobroci zgasłej połowicy, tak znowu syn jego Grzmisław zatruwał spokój ojcowski. Młody niedorostek był tak dziwacznie dumnym, tak nienawistnym dla swej siostry, że ojciec widząc to rozdwojenie, acz z żalem w sercu, postanowił wysłać go do obcych krajów, sądząc że rozdział na lat kilka przemieni syna usposobienie.

Odjechał więc wojewodzic w towarzystwie Miłosza, urodziwego młodzieńca, który, jako sierota po przyjacielu wojewody, na wojnie z Turkami poległym, chował się w zamku wraz z Bożenną i Grzmisławem. Obydwóch ojciec powierzył pieczy świadomego obcych krajów szlachcica Rembosza. Po rozstaniu się z niemi, Bożenna udała się na wieżę zamkową i tam długo śledziła łzą zamglonemi oczyma tuman kurzawy na drodze.

Młode jej serce biło gwałtownie; bo ona brata, choć niekochana, kochała serdecznie, a z powabnym Miłoszem tkliwa łączyła ich przyjaźń. Słońce się zniżało na lasy, złote promienie kąpiąc w jeziorze. Bożenna jeszcze dumała, a nad nią w górze, jak anioł ze skrzydłem rozpiętem, biały płynął obłoczek.

Minęły lata — na świecie było ciemno i burzliwie; wicher dął gwałtowny po starych świerkach i lipach, a deszcz kroplisty trzaskał po szybach okien. Burzyło się Gopło, zapienione miotając bałwany i uderzając niemi o mury zamku, w którym od roku osiadła cisza. Wojewoda już nie żył, a okropnym ciosem boleści dotknięta Bożenna, zamieszkała z Gertrudą na folwarku, bo zamek już odtąd był jej niemiłym.

Zaturkotało na dworze. Wojewodzic, na wieść śmierci rodzica, powrócił z zamorskiej ziemi, a razem z nim Miłosz i Rębosz. Miłosz białą wojewodzianki rączkę tuli do serca, a ona chyli skronie do młodziana i szepce mu słowa boleści. Dumny Grzmisław nie przybył nawet siostry przywitać; zcudzoziemczały, przebrany w strój niemiecki, zapomniał o uczuciu rodzinnem.

Nazajutrz zaraz dał poznać groźną moc swych rządów: odprawił sługi dawniejsze, a na ich miejsce poprzyjmował nowe, urzędy zaś obsadził cudzoziemcami. Sarkali skrycie mieszkańcy włości, bo jawny opór srodze karano; szemrała szlachta i mieszczanie. Nie pomogły rady Miłosza i zbawienne Rębosza uwagi, bo wojewodzic ich nie słuchał.

Po kilku latach dotkliwych rządów wojewodzica, nastały w kraju zamieszki: głód, mór i wojna szerzyły srogie zniszczenia; lecz mimo to na zamku coraz huczniejsze brzmiały biesiady. Ściany się trzęsły od zgiełku, wrzawy; okna rzęsistem płonęły światłem, a po głębokich nurtach jeziora odgłos muzyki i pijanych okrzyków codzień się odbijał. Dębowe stoły gną się pod ciężarem srebrnych i złotych naczyń; komnaty otwarte na rozcież, a po wszystkich szlachta się roi, gwarne i głośne tocząc rozmowy. Góruje między niemi postać wojewodzica, który przechadza się dumnie pośród swych gości i chmurnem okiem rzuca w około. Na czole jego marszczka osiadła, na ustach zawisł uśmiech szyderczy, bo w sercu tajemne myśli gnieżdżą się oddawna. Szlachta nie baczy na gospodarza, który hojności daje dwody: je, pije, hula, radzi rozgłośnie. Na boku tylko samotnie siadł Miłosz i głowę pochylił ku ziemi, ciężką ujęty zadumą.

A na folwarku piękna Bożenna skromne zajmuje komnaty. Dnie we łzach płyną dziewicy, noce w bezsennej boleści. Je-

dyną osłodą jej niedoli modlitwa, jedyną pociechą w sieroctwie stara piastunka Gertruda. Obie się cieszą lub płaczą społem, klęcząc przed świętym obrazem Jasnogórskiej Królowej. Pięć już jesieni przeszło i szóstą wiosnę maj zazielenił, odkąd Bożenna samotna na świecie. Grzmisław wydarł ostatki biednej sierocie. Oczy jej łzami zalane; w bladem obliczu cierpienia ślady; wiotka postać, w czarną przybrana sukienkę, gnie się jak kłos pszeniczny pod nieszczęść ciężarem.

I codzień smutniej w nadgoplańskiej stronie, a łzy jak krople deszczu, padają z ócz ludu i płyną strumieniem do jeziora. Rozległe włości możnego pana, który się bawi z gośćmi w swym zamku, jęczą pod jarzmem niedoli, złorzecząc cichem przekleństwem, a codzień gorzej i gorzej, aż nieraz Gopło wstrząsa się gniewnie w swem łożysku, szumi i huczy, pieni się i sroży na taką obrazę praw Bożych. Pszeniczne łany kujawskiej ziemi, jakby zaklęte, rodzić przestały, bo dzikie chwasty, kąkol i oset tłumią zasiewy. Więc smutno, pusto w sielskiej siedzibie, a smutniej jeszcze w sercach jej mieszkańców.

Na zamku tylko z dnia na dzień huczniej, weselej. Piwnice dziadów otwarte, wino leje się strumieniem. Szlachta wiwaty spełnia szalone; a w kraju tymczasem rozpacz, śmierć i pożoga, bo Szwed jak szarańcza zalał kraj polski: pali, pustoszy i wyrzyna, a morowa dziewica potrząsa krwawą chustą nad biedną ziemią, siejąc zniszczenie.

W komnatach zamku stare przodków obrazy groźne rzucają spojrzenia na tłum rozpustnych potomków; lecz szlachta, sowicie uraczana, wierność i przyjaźń zaprzysięgła Grzmisławowi, wynosząc hojność magnata. Wstrzemięźliwsi tylko, patrząc w oblicze dumnego pana, dostrzegają w niem podstęp i zdradę, zwłaszcza że na ucztach zamkowych widywano nieraz i posłów szwedzkiego mocarza, w tajnych z wojewodzicem naradach.

Aż jednej nocy, gdy puhar krążył koleją, łącząc w uściski biesiadujących, nagle straszliwa zrywa się burza, grom za gromem uderza, jezioro Gopło zatrzęsło grzbietem, wzdęły się groźne jego bałwany i uderzyły na zamek, aż się rozpękły mury starego grodu i w nurty wodne runął gmach wojewodów. Jeden tylko Miłosz ocalał.

Przeszła krajowa nawała, przepłynęły łzy niedoli, i w nadgoplańskiej siedzibie cisza znów osiadła. Zielenią się łany i kwitną drzewa w ogrodach, a rolnik w zawody ze skowronkiem nuci piosnkę swobody. I znów, jak za dawnych czasów, Miłosz z Bożenną, połączeni już na zawsze, zwidzają sielskie le-

pianki, darząc pociechą swych poddanych; a kiedy dzwonek zabrzmi w kaplicy, spieszą pospołu z niemi, dziękować Bogu za cudowne swe ocalenie.

I przeszły lata; a dotąd jeszcze wśród ciszy nocnej po nurtach jeziora odbrzmiewają krzyki biesiadujących: dziki gwar, jęki i przekleństwa potopionych. Na powierzchni wodnej ukazują się straszliwe widma i złowróżbnym okrzykiem niepokoją nadgoplańskich mieszkańców.

PRZODOWNIK.

Słoneczko zachodzi, żaby rzegotają,
Od kośby pod wieczór, kosarze wracają.
„Dożęliśmy żytka“, po polu rozlega,
Uboga niewiasta, drogę im zabiega.
— Moi żeńcy mili, nie mam chleba w domu,
Wdowiego zasiewu, nie ma posiec komu.
Dzieci na przypiecku stęchłe plewy suszą,
Na krzemionkach w piasku kłosy mi się kruszą.
Poczciwe ludziska, na te wdowie prośby,
Wszyscy iłu było, wzięli się do kośby.
Zmachały się ręce, poziewają twarze,
Na połowie stają, zasnęli kosarze.
Tylko siwy kosarz, choć mu z grzbietu ciecze,
Nie dał się zmęczeniu, tylko ciągle siecze.
Kiedy już ostatnie zaciął kosą kłosy
Wypadła mu z ręki — upadł na pokosy.
Aliści niebawem, niebiescy Anieli,
Na wdowie się pole gromadą zlecieli.
Pokoszone garście w narączka zbierają,
i powietrzną drogę niemi wyścielają.
Siwego kosarza dwóch wzięło pod ręce
I wiodą go wiodą po owej ścieżynce...
Kędy Pani siedzi na tronie w niebiosach
I tak wszedł do raju po swoich pokosach.

Trefniś królewski.

Dawnymi czasy, kiedy jeszcze królowie polscy na królewskim zamku siedzieli, był zwyczaj, że trzymali sobie człowieka do rozrywki, bo król jegomość napracowawszy się przez cały

dzień dla dobra kraju i szczęścia narodu, chciał się też czasem rozerwać przy swoich zwykłych kłopotach i rozśmiać w dobrą chwilę. Ludzi takich do rozrywki trzymanych, nazywano trefnisiami, lub też z prosta błaznami.

Nie idzie przecież zatem, aby błazen był prawdziwym błaznem, to jest człowiekiem głupim, bez mózgu w głowie. Owszem byli to ludzie mądrzy, umiejący pięknie rozweselać, którzy często monarchom prawdę mówili, skrywszy ją w żart wesoły.

Trefniś taki chodził dziwacznie ubrany, miał na głowie czapkę z dzwoneczkami, pasik okowany, a w ręku małe cepy, na znak, że mu wolno było uderzać we wszystkie wady i ułomności ludzkie.

Otóż za króla Zygmunta I, zwanego Starym, był trefniś taki nazwiskiem Stańczyk, który swymi żartami umiał się wszystkim podobać. Raz kiedy król siedział przy obiedzie z różnymi panami, była rozmowa o tem, jakiego stanu ludzi najwięcej na świecie.

— Najwięcej szlachty — rzecze jeden.

— Najwięcej rzemieślników — rzecze drugi.

— Najwięcej żołnierzy — powiada trzeci.

— Ja myślę — mówił król Zygmunt — że najwięcej rolników, bo to w Polsce stan najliczniejszy, wiosek jak drzew w lesie, a iluż to w każdej wsi poczciwych chłopów, co świętą ziemię uprawiają.

— Tak, miłościwy królu — rzecze jeden z panów — w Polsce być może, że najwięcej rolników, ale w innych krajach to więcej kupców, a znowu są i takie, gdzie tylko sami pasterze, jak to w tej krainie, w której żyli święci patryarchowie.

— Albo — rzecze drugi — znów w kraju tatarskim, gdzie sami rozbójnicy i koniarze.

— Bajki to wszystko — zawołał nagle Stańczyk, stojący za krzesłem królewskiem — nie ma na świecie żadnego stanu więcej, jak doktorów.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a król rzecze:

— Mój Stańczyku, twoja mądrość błazeńska źle ci posłużyła, minąłeś się z prawdą.

— Oj co nie, to nie, najmiłościwszy królu — rzecze Stańczyk.

— Dowiedźże nam tego — zagadnie król.

— Dziś nie mogę — rzecze Stańczyk — bo dopiero ra-



Cudowny połów ryb. (Objaśnienie na stronicy 28).

chować muszę, ale jak porachuję, jutro najmiłościwszemu panu doniosę.

Wszyscy z ciekawością czekali jutra.

Skoro świt, Stańczyk założywszy po za dziąsła kawałek chleba i obwiązawszy chustką twarz wykrzywioną, chodzi, udając, jakoby mu spuchła.

Na rynku napotyka jednego z panów, co wczoraj byli na obiedzie u króla, a ten ujrzawszy, go rzecze:

— A co ci to, miły Stańczyku?

— Zęby mię okrutnie bolą i twarz mi spuchła.

— Weźże sobie pieprzu i obłóż ząb, a ustanie ból od razu.

Stańczyk się skłonił i odszedłszy na bok, zapisał nazwisko owego pana. Wnet spotyka drugiego.

— A tobie co się stało — zapyta ów.

— Oj zęby, zęby — rzeknie Stańczyk.

— Wytrzyj twarz okowitą, to cię przestaną boleć.

Stańczyk i tego zapisał.

I tak chodził od jednego do drugiego, a każdy niepytany i nieproszony radził: ten hubkę z octem, drugi kamforę, trzeci zębnik, czwarty zimną, piąty gorącą wodę. Stańczyk zaś to wszystko spisywał.

Gdy panowie znów znaleźli się u królewskiego stołu, a król ujrzał Stańczyka z zawiązaną twarzą, ulitowawszy się, rzecze:

— A idźże moje dziecko, do mojego nadwornego Włocha, to on ci na tę biedę poradzi. Miałeś nam dowieść, że na świecie najwięcej doktorów, ale ja cię od tego dla twej choroby uwalniam.

A Stańczyk zerwawszy chustkę z twarzy i wyjąwszy skórkę od chleba z ust, rzecze:

— Najmiłościwszy królu! dla mojego pana zawsze zdrów jestem, a dowiodę zaraz, że najwięcej doktorów na świecie. Oto wszyscy panowie co tu siedzą, chcieli mnie leczyć na zęby, oprócz ciebie, najmiłościwszy panie, któryś jako najmędrszy, odesłał mię do Włocha.

Począł Stańczyk czytać nazwiska panów i co mu który radził, a wszyscy się serdecznie uśmiali z owego figla stańczykowskiego.

Nieraz młody starszych nauczy.

Józef, czternastoletni studencik, wybrał się podczas wakacyj z matką swą na małą podróż. Wypadło im w dzień postny obiadować na dworcu kolei żelaznej w Ch...

Już wiele stołów zajęli liczni podróżni, którzy smacznie mięso zajadali. Józef siadł sobie wraz z matką przy próżnym stoliku w środku sali.

Natychmiast zbliżył się kelner, czyli służący jadalni i zaczął w głos recytować: bifsztyk, filety, kotlety, wołowa pieczeń, wieprzowina, cielęcina.

— Co pan mówisz, panie kelner? zawołał Józef głośno; przecież dziś piątek?

— Tak jest, my dziś z postem, dodała matka.

— Cóż to osobliwszego piątek? pytał swego sąsiada otyły kupiec, który już dawno zapomniał, czem jest piątek dla wyznawcy Ukrzyżowanego.

— Zdaje się, odrzekł jego sąsiad, że pieczeń w piątek nie każdemu smakuje. I uśmiechał się szyderczo.

— Czyż nie wszystkie dni sobie równe? Czyż piątek nie tak dobry dzień jak inne? Zapytał jakiś podróżny.

— Kto ma rozum i nieda się księżom ogłupiać, ten je, co mu smakuje — rzekła z powagą opasła, postępowa dama.

Wszyscy zaś swe uwagi tak głośno robili, że każdy je mógł słyszeć i cieszyli się, gdy im drudzy przyklaskiwali.

Józef zaraz spostrzegł, że te wszystkie uwagi do niego są skierowane; rzucił na szyderców wzrokiem litości, co ich bardzo rozgniewało i sprawiło, że jeszcze więcej z przykazania o poście szydzili. Wreszcie sprzykrzywszy sobie Józef te wszystkie szyderstwa, szepnął coś matce do ucha. Matka kiwnęła głową z uśmiechem, a Józef zawołał głośno:

— Kelner! dwie porcye pieczeni!

— Grobowe milczenie w całej jadalni. Wszystkich oczy zwróciły się na ucznia, ogólna ciekawość ich ogarnęła.

Kelner myślał, że źle rozumiał, i stał jeszcze czekając; Józef więc głośno zawołał:

— No, proszę o dwie porcye pieczeni!

— Czy ten dzieciuch na seryo myśli, mruczano półgłosem.

— Zdaje się, że ze swoją matusią nawrócił się do naszego zapatrywania i przykazanie o poście w trąbę puścili, zauważył podróżny.

Zamówione porcye pieczeni nadeszły. Józef rozkroił je na tyle kawałków, ile szyderczych uwag słyszał, a potem zawołał na psa leżącego pod stołem i rzekł:

— Karo, pif! rzucając mu jeden kawał mięsa, żrej. żrej, wszak piątek jest dla ciebie jak każdy inny dzień.

Niektórym z gości już się twarz przeciągnęła.

Józef dał psu kawał mięsa mówiąc:

— Żrej, żrej, mięso tak dobre w piątek jak w niedzielę.

Ogólne niezadowolenie.

— Ten młokos szydzi z nas, zapewniała otyła dama.

Ale Józef nie miał ochoty stanąć w połowie drogi.

Wziął na widelec trzeci kawał mięsa i pokazywał psu. Pies uszy postawił, machał ogonem i łakomie patrzył na Józefa, czyli raczej na mięso.

— Jakiś ty mądry, mówił do psa Józef, rzucając mu trzeci kawał, ja widzę, że się ty księżom nie dałeś ogłupiać, i żresz co ci smakuje.

Teraz właściciel odwołał psa i kazał mu leżeć pod stołem, ale oko jego żarłoczne utkwione było w Józefa.

Ten wziął resztę pieczeni, pokazał ją psu tak komicznie, że goście mimowoli śmiać się musieli.

— No Karo, jeszcze raz, bo już koniec! a jeśli mięso koniecznie jeść trzeba w piątek, aby być wykształconym, to ty, Karo, możesz być dumny z tego, że należysz do liczby wykształconych.

Ten pomysł młodziutkiego studenta miał ogromny skutek. Przyklasnęli wszyscy odważnemu chłopcu, że szyderstwa obrócił na tych, którzy pierwej szydzili. Wielu z nich dość głośno szeptało:

— Ten nas nauczył rozumu!

O wieśniakach w Norwegii.

Na północ, a raczej na północny-zachód od Polski, leży królestwo Szwecyi i Norwegii. Dwa te państwa złączone są ze sobą pod względem politycznym tak zwaną „unią“, coś podobnie jak Austrya z Węgrami.

Chcemy mówić o Norwegii, bo kraj ten, zwłaszcza lud jego zasługuje na uwagę. Norwegia jest krajem górzystym; zaledwie pięćdziesiąta część całej powierzchni kraju, czyli około 12 mil kwadratowych zdatne są pod uprawę, a resztę zajmują góry, skały, jeziora, na północy zaś ogromne przestrzenie po-

kryte wiecznym śniegiem. Rokrocznie jednak przez osuszanie moczarów i karczowanie lasów przybywa Norwegii ziemi uprawnej.

Zresztą, obecnie jeszcze wieśniak norwegski nie może narzekać na brak ziemi, gdyż działki gruntu, są tam większe, niż w jakimbądź kraju Europy.

Tak małych działek, jak naprzykład u nas, któreby nie mogły wyżywić rodziny, niema wcale w Norwegii, ale też i dużych, pańskich majątków brak zupełny — i nigdy ich prawie nie było.

Istnieje tam oprócz tego prawo, zabraniające dzielenia ziemi na zbyt drobne działki, przyczem, tak jak i u nas, spłacają najczęściej siostry. Z tego prawa są wieśniacy bardzo zadowoleni.

Gospodarzom powodzi się dobrze, najgorzej powodzi się bezrolnym, których w Norwegii jest około 300 tysięcy. Oni to jedynie narzekają na swą biedę, bo nie płacąc podatków, nie mają udziału w sprawach krajowych. Położenie jednak i tych ludzi nie jest wcale takie rozpaczliwe, jak w innych krajach. Taki bowiem wieśniak bezrolny za mieszkanie i kawałek gruntu, który mu wystarcza do wyżywienia rodziny, płaci, jako komornik, właścicielowi ziemi robocizną. Po wspólnej z gospodarzem pracy na polu, zasiada z nim do stołu, jak równy z równym, razem z nim gawędzi, weseli się i smuci.

W Norwegii wogóle niema takiej różnicy stanów, jak u nas. Jeżeli do norweskiej chaty wejdzie gość, czy to biedny wyrobnik, czy to pan milionowy, zawsze go na pierwszem miejscu posadzą i ugoszczą sowicie.

Szlachty nie było dawniej w Norwegii, dopiero Duńczycy, gdy ten kraj zajęli, a po nich Szwedzi zaprowadzili szlachectwo, które jednak w kraju nie miało nigdy i nie ma wielkiego znaczenia, to też Norwegię można dziś nazwać jedynym, prawdziwym krajem włościańskim.

Pomimo nieurodzajności gruntu lud norwegski pod względem zamożności i oświaty, zajmuje p i e r w s z e miejsce w Europie. Pracowici, oszczędni, wydobywają oni ze swej nieurodzajnej ziemi tyle, że nikt u nich głodu nie cierpi. Wprawdzie niema u nich milionowych bogaczów, jak w innych krajach, ale też tam nie znajdzie żebraków, ani zupełnej nędzy.

Człowieka nie umiejącego ani czytać, ani pisać, można spotkać tylko między ludźmi niespełna rozumu.

Wsi takich, jak u nas, niema tam wcale. Istnieją tylko

pojedyncze zagrody, oddzielone od drugich zagród nieraz nieprzebytemi górami i przepaściami.

Dziwny też jest sposób budowania się norwegskich a także i szwedzkich włościan. Zamiast jednego dużego domu, budują oni kilka chat, tak, że zagroda pojedynczego rolnika, wygląda jak jaki folwark.

W jednej z takich chat gospodarze śpią, w drugiej przyjmują gości, w trzeciej znajduje się kuchnia, w czwartej spiżarnia, w piątej skład na rzeczy. Im zamożniejszy jest gospodarz, tem więcej jest w jego zagrodzie takich domków.

Na domkach tych często robią dachy płaskie, pokrywając je korą i ubitą darniną, to też z wiosną gdy przyjdą ciepłe deszcze, dach taki poczyna się pokrywać piękną zielonością, niby łąką. Gdy czasem gospodyni zabraknie paszy dla bydła, to wynosi kozę lub owcę na to niewielkie, a szczególne pastwisko.

Gościa przyjmują w najpiękniejszym domku, który i zewnątrz i wewnątrz wygląda ozdobniej, od reszty domków zagrody.

Do takiego domku w chodzi się przez niskie drzwi, za którymi znajduje się najpierw mała sionka, a za nią izba nader czysto i porządnie utrzymana. Znajduje się tam łóżko, szafy po bokach izby, a na półkach świecą się cynowe i porcelanowe naczynia. Od dołu ściany izby ozdobione bywają gzymsem, na którym widnieją różne mądre i pobożne napisy, jak naprzykład: „Boże, błogosław nam!“ albo: „Pracuj nieboże! a Bóg ci dopomoże!“ i wiele innych. Na środku izby stoi stół i krzesła, zazwyczaj własnej roboty — mocne i trwałe. W szafie znajduje się duży zbiorek różnych książek, a na stole kilka gazetek. U bogatszych można nawet widzieć fortepian. skrzypce lub inne narzędzia muzyczne.

W drugim domku, mniej ozdobnym, mieszka gospodarz z rodziną. Tu znajdują się w izbie te same sprzęty, co i w domku gościnnym, tylko prostsze i mniej ozdobne.

Kuchnia znajduje się trochę dalej od innych budynków, aby w razie pożaru uchronić od ognia resztę zabudowań. W czwartym domku znajduje się spiżarnia. Żeby zabezpieczyć ją od wilgoci od szczurów i myszy, stawiają ją na wysokich słupach. Ogromne beczki mąki, kaszy, całe stosy suszonego sera, leżą tu na ławach. Najwięcej jednak miejsca zajmują olbrzymie wianki wiszącego chleba. Chleb ten nie jest wcale do naszego podobny. Wypiekany z owsianej mąki, bez rozczynu, wygląda jak cienki, twardy placek i nie jest smacznym.

Nie można go też krajać, więc zwykle łamią go na drobne kawałki i rzucają do tłustej i gorącej zupy.

Podróżny, z zagranicy przybyły, choruje od takiego chleba; Norwegowie jednak lubią go, chociaż mówią, że od niego mają potem na starość zęby starte prawie do dziąseł. Po miastach tylko i to ludzie bogaci, pieką chleb z żyta lub pszenicy.

Jeżeli dodamy do tego, że kartofle mają tam smak wodnisty, mleczywa nie umieją dobrze przyrządzać, to przekonamy się, że jedzenie ludu norwegskiego nie jest ani urozmaiconem, ani smacznem.

Przejdźmy teraz do zatrudnienia ludu norweskiego. Podczas zimy, która tam trwa 7 miesięcy, rolnik tamtejszy zajmuje się stolarstwem, szewstwem, kowalstwem, lub innem rzemiosłem, a kobiety tkają, szyją, lub robią pończochy. Mróz w czasie zimy dochodzi do 28 stopni, wzdłuż zaś wybrzeży morskich szaleją straszne burze.

W końcu kwietnia zaczyna słońce cieplej przyświecać, śnieg gwałtownie topnieje, woda spada z szumem z gór, rzeki szybko wzbierają, nagle robi się ciepło, i wszystko zaczyna rosnąć z nadzwyczajną szybkością. Po trzaskających mrozach, przychodzą letnie upały: nastało już lato, a wiosny prawie nie było.

Z jakąż radością patrzą na tę zmianę mieszkańcy tego zimnego kraju! W każdej wsi w tym czasie stroją brzozę we wstążki i kwiaty, a na jej szczycie zatykają blaszaną chorągiewkę, która wskazuje kierunek wiatru. Młodzież wyśpiewuje piosenki na cześć słońca i lata, starzy z kierunku wiatru wróżą pogodę, a wszyscy ochoczo biorą się do pracy, bo z zasiewami trzeba się spieszyć.

Dziewcząt jednak i młodych chłopców nie ma już przy zasiewach, gdyż oni, zaledwie śniegi stopnieją, idą w góry paść bydło na ich stokach.

Co za ruch, życie, wesołe śmiechy i krzyki rozlegają się wówczas po świach! Drzwi obór i stajen otwierają się z hałasem. Mężczyźni uwięzują na koniach mnóstwo rzeczy, bo to nie na dzień, ani na dwa, wybiera się cała młodzież ze wsi; oni tam w górach całe lato przepędzą, więc niczego zapomnieć nie można. Trzeba wziąć ze sobą chleba, ciepłych okryć, naczyń do robienia sera i masła.

Czeka ich tu ciężka praca i życie pełne niewygód, a jednak nawet dziewczyna norwegska uważałaby sobie za największą krzywdę, gdyby jej nie chciano pozwolić na przepędzenie lata w górach. Pomimo ciężkiej pracy i niewygód, wesołe śmie-



Wnętrze chaty wieśniaka norwegskiego.

chy, śpiewy lub opowiadania o starych dziejach rozbrzmiewają po górach od rana do wieczora. A gdy nadejdzie niedziela, patrzą wszyscy na dolinę i wyglądają, czy kto z rodziny nie nadejdzie w odwiedziny.

Pozostałym jednak w domu też trudno oderwać się od pracy. W końcu czerwca zaczyna się zbiór siana, a trzeba się z niem prędko uwijać, bo żniwa za pasem. Siano to, choć szczęśliwie zebrane, nie wystarcza do przekarmienia bydła przez długą zimę. W jesieni więc chodzą wszystkie kobiety z płachtami, zrywając dla bydła liście z topoli, brzóz, olch, a za pozwolenie zrywania ich muszą opłacać się właścicielom.

Ale oto i żniwa nadchodzą. Nasz wieśniak patrzałby z politowaniem na nędzne kłoski gdzieniegdzie tylko zasianej pszenicy, która zaledwie zwraca koszta zasiewu. Owies, jęczmień, żyto, lepiej się udają, ale dla prędszego wysuszenia tych zbóż, muszą używać różnych sposobów.

Najpierw więc koszą zboże przy samej ziemi, żeby nie zmarnować ani trochy słomy, potem przymocowują w ten sposób snopy do wysokich pali, żeby kłosy zwrócone były na południe. W innych znowu okolicach wieszają snopy pomiędzy belkami pod dachem, który zasłania od deszczów, a pozwala osuszyć je wiatrom.

Często z powodu wczesnych, nocnych przymrozków, muszą rolnicy kosić całe łany zielonego jeszcze zboża i oddać go na paszę dla bydła. Taki rok ciężki nazywają „zielonym rokiem“.

Po ukończonych zbiorach, w połowie września, stoki gór zaczynają się barwić różnokolorowemi strojami pasterek i pasterzy powracających z gór. Najlepiej upasiona krowa postępuje na czele bydła z kokardą uwiązaną u szyi. Chłopcy prowadzą konie, a dziewczęta niosą skopki i maślnice. Część z tego upasionego bydła musi gospodarz sprzedać lub zabić, bo trudno o paszę.

(Dokończenie nastąpi).

Co starzy mówią.

Nie zbłądzi, kto z kredą rządzi.

Miłym ten będzie potomkom,
Kto dobrze czynił ziomkom.

Nie dał ci Bóg chleba, żebyś go sam jadł,
Ale też ubogiemu do torby go kładł.

Poznać po mowie — co komu w głowie.

Gdy początek próżniacki — to koniec łajdacki.

Raz tylko człek się rodzi
A śmierć na niego tysiąc razy godzi.

PORADNIK GOSPODARSKI.

Podawanie zwierzętom soli kuchennej. Zwierzęta żyjące w stanie przyrody bez dodatków soli kuchennej obejść się mogą, wiele bowiem znajduje się roślin, zawierających sól kuchenną. Roślin tych zwierzęta poszukują i spożywają je.

Inaczej ma się rzecz ze zwierzętami żywionemi pokarmami sztucznemi. Przy używaniu tych pokarmów, dla pobudzenia przyrządów czyli organów trawienia, u zwierząt, sól wywiera dobroczynne skutki, bo wpływa na rozkład i prędsze strawienie twardych pokarmów, oczyszcza zamulone trzewia, i działa podrażniająco na żołądek i kiszki. Wówczas zwierzę prędzej trawi, a przez to powiększa się jego apetyt do jadła.

Szczególnie w następujących razach przynosi sól dobroczynne skutki: gdy zwierzęta karmione są sztucznymi pokarmami, n. p. gdy się im daje zupy z mąki, makuchy, rzepy, otręby i t. d. Nie mniej potrzebna jest sól, gdy się daje zwierzęciu pokarmy mączne, klajstrowate, trudno strawne, wogóle, gdy zwierzęta karmione są paszą mało pożywną i niezawierającą części solnych, jak n. p. siano i słoma, zebrane z miejsc mokrych i kwaśnych.

Jeżeli przechodzimy z paszy jednej do drugiej, to jest od zielonej do suchej, lub odwrotnie, to także jest potrzebny dodatek soli. Nakoniec w braku apetytu do jedzenia i picia, lub gdy zwierzęta pozornie zdrowe chciwie liżą ściany.

Błędnem atoli jest mniemanie, jakoby od soli przybywało zwierzętom mięsa i tłuszczu. Wprawdzie zwierzęta karmione paszą z obfitością soli, wyglądają pozornie dobrze, okrągło, ale to nie pochodzi od tłuszczu, tylko od przesiąkania płynu wodnistego do tkanek ciała.

Sól, gdy ma być dawaną, to w małych dawkach i dłuższych przerwach czasu, czy to w bryłkach do lizania, czy umie-

lona do posypywania obroku, lub napoju. Mniej więcej zwyczajna porcya soli w potrzebie użyta wynosi na dzień dla konia do dwóch łutów, dla bydła rogatego do dwóch i pół, dla owcy dorosłej ćwierć łuta.

Jeżeli pokarm jest zdrowy, i zastósowany do natury zwierzęcia, to używanie soli jest zbyteczne.

Popiół jako nawóz. Najlepszy popiół jako nawóz jest popiół drzewny, i to popiół z drzew liściastych daje lepszy nawóz niż z drzew iglastych. Także popiół z chrustu, gałęzi i innych odpadków daje lepszy nawóz, niż popiół ze szczap.

Co dawać kurczętom zaraz po wylęgu. Skoro się kurczęta wszystkie wylęgną, powierza się je opiece kwoki, i umieszcza się je razem z nią w suchem miejscu. W piękne, suche i ciepłe dni, można je wypuszczać na świeże powietrze, strzegąc pilnie od chłodu i wilgoci.

Kurczętom trzeba dawać poddostatkiem świeżej, czystej wody, jako też dobrego, świeżego, zupełnie słodkiego, mleka. Jako pierwszy pokarm zalecają się: kasza owsiana lub jęczmienna, proso, żółtko z jaja i dobrze wyciśnięty twaróg. Można też pokruszyć skórkę dobrze wypieczonego chleba żytniego. Ale świeży, albo rozmoczony chleb jest dla małych kurcząt trucizną. Po upływie trzech lub czterech tygodni, można im dawać wszelkie ziarno. Oprócz pokarmów roślinnych, trzeba im dawać także wapno i piasek.

Biegunka u źrebiąt. Pospolitą chorobą u źrebiąt jest biegunka i pojawia się ona często już w pierwszych dniach po urodzeniu, najczęściej jednak w połowie okresu ssania. Przyczyną tej choroby bywa zwykle niezdrowe mleko matki, które staje się takiem z powodu pojenia zbyt zimną wodą. W razie pojawienia się zatem biegunki u źrebiąt, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na stan zdrowia u klaczy.

Co się tyczy środków leczniczych, to klacz należy zatrzymać przez dzień lub dwa dni w stajni, żywić dobrą paszą i zadawać poiło, zrobione z mielonego kminku i mąki lnianej oraz wody. Do pojenia trzeba używać wody przestałej, a klacz nakryć.

Źrebięciu zaś zadaje się w rumianku po 1—2 gramy magnezyi i 1 do 4 gramów korzenia rabarbarowego, co dostać można w aptece. Dobrze też działa nacieranie brzucha źrebięciu mieszaniną zrobioną z dwóch części spirytusu kamforowego i jednej części olejku terpentynowego. Dopóki odchody mają naturalną zieloną barwę, biegunka nie jest jeszcze niebezpieczną i łatwo daje się wyleczyć, gorzej jest, gdy kolor odcho-

dów bywa szaro-biały i wówczas źrebię rzadko powraca do właściwego stanu zdrowia.

Środek na krowy kopiące. Kawał płótna lub worek mokry położyć krowie na krzyże, a podczas dojenia spokojnie stać będzie.

W jakiej porze dnia jest najlepiej kosić łąkę. Ranne i wieczorne godziny są najlepsze do koszenia łąki, bo podczas przypieku południowego słońca trawy więdną, a przez to trudniej się koszą.

Koszenie ranne jest dokładniejsze od wieczornego, bo wczesnym rankiem trawa jest wilgotniejsza i jędrniejsza, więc może być łatwiej równo i nisko skoszoną, przeto zyskuje się na ilości siana.

Cudowny połów ryb.

(Objaśnienie ryciny na str. 17).

Ewangelista, Łukasz święty, opowiada w swej Ewangelii (w rozdziale 5-tym), że gdy rzesze prosiły Pana Jezusa, aby im głosił słowo Boże, Chrystus Pan stojąc podle jeziora Genezareth, ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze, a rybitwi wyszli byli i płukali sieci.

A wszedłszy w jednę łódź, która była Symonowa, prosił go, aby maluczko odjechał od ziemie. A siadłszy uczył rzesze z łodzi.

A gdy przestał mówić rzekł do Symona (czyli do św. Piotra): zajedź na głębią, a zapuśćcie sieci wasze na połów. A Symon odpowiedziawszy rzekł mu: Nauczycielu, przez całą noc pracując niceśmy nie ułowili: wszakże na słowo Twe zapuszczę sieć.

A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, i rwała się sieć ich. I skinęli na towarzysze, co byli w drugiej łodzi, aby przybyli i ratowali je. I przybyli, i napełnili obie łodzie, tak, iż się mało nie zanurzały.

Co widząc Symon-Piotr upadł u kolan Jezusowych, mówiąc: wynijdź odemnie, bom jest człowiek grzeszny, Panie.

Albowiem go było zdumienie ogarnęło, i wszystkie, co przy nim byli, z połowu ryb, który poimali.

I rzekł Jezus do Symona: Nie bój się: odtąd już ludzi łowić będziesz.

Tę właśnie chwilę, gdy św. Piotr rzuca się do stóp Pana Jezusa, uznając jego Bóstwo, i gdy Chrystus Pan każe mu odtąd łowić ludzi, czyli nawracać do wiary Chrystusowej, przedstawia nasza rycina na str. 17.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.